

FROM THE NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR OF VIRTUAL LIGHT AND NEURONANCE

**william**

**CLOSURE**



**J O H N N Y  
M N E M O N I C**

*The Screenplay and the Story*

William Gibson

Johnny Mnemonic

Obrzyna schowałem do torby Adidasa i obłożyłem czterema parami tenisowych skarpet. To nie mój styl, ale tak to sobie właśnie zaplanowałem: jeśli myśla, że jesteś techniczny, idź w prymityw. A ja jestem chłopakiem wyjątkowo technicznym. Dlatego postanowiłem zagrać tak prymitywnie, jak to tylko możliwe. Ale żeby w dzisiejszych czasach aspirować do prymitywu, trzeba niezłej techniki. Musiałem wytoczyć na obrabiarkę obie mosiężne luski, dwunastki, a potem własnoręcznie je załadować; musiałem wygrzebać stara mikrofiszę z instrukcjami ręcznego przygotowywania naboju; musiałem zbudować prasę, żeby umieścić splonki. Wszystko to wymagało sprytu. Ale wiedziałem, że będzie działać. Spotkanie miałem umówione w "Drome" o 23.00, ale przejechałem metrem trzy przystanki za najbliższą stację i wrocilem pieszo. Bezbłędna procedura.

Sprawdziłem siebie w niklowanej ścianie budki z kawą: podstawowy typ kaukaski, ostre rysy, czupryna ciemnych, sztywnych włosów. Dziewczyny "Pod Nozem" szalały za Sony Mao i trudno było je powstrzymać, żeby nie dodały mi jakichś mongolskich fald. Wszystko to raczej nie oszuka Ralfiego Buzki, ale może przynajmniej doprowadzi mnie bliżej jego stolika.

"Drome" to pojedyncza wąska salka z barem pod jedną ścianą i stolikami pod drugą. Pełno tu alfonsów, paserów i wszelkiej masy handlarzy. Przy drzwiach stały dzisiaj Magnetyczne Psie Siostry i wcale nie podobała mi się myśl, że gdyby coś się nie udało, będę musiał się przez nie przebić. Miały po dwa metry wzrostu i były chude jak charty; jedna czarna, druga biała, ale poza tym były tak podobne, jak to tylko możliwe dzięki chirurgii plastycznej. Żyły ze sobą od lat, a w boju lepiej na nie nie trafić. Nie wiem, która początkowo była facetem.

Ralfi siedział tam, gdzie zwykle. Był mi winien kupę forsy. Miałem zadekowane w głowie w trybie idioty/medrca paraset megabajtów informacji, do której nie miałem świadomego dostępu. Ralfi ją tam zostawił. Ale nie zgłosił się po nią. Tylko Ralfi mógł odzyskać te dane przy pomocy hasła, które sam wymyślił. W ogóle nie jestem tani, ale ceny za wydłużone składowanie sięgają wartości astronomicznych. A Ralfi jest bardzo skąpy.

Potem usłyszałem, że Ralfi Buzka chce zawrzeć na mnie kontrakt. Właśnie dlatego zorganizowałem to spotkanie w "Drome". Umówiłem się z nim jako Edward Bax, nieoficjalny importer, ostatnio z Rio i Pekinu.

"Drome" cuchnęło biznesem, metalicznym aromatem nerwowego napięcia. Rozproszeni w tłumie mięśniacy przeżyli do siebie kluczowe części ciała i próbowali zimnych uśmiezków. Niektórzy tak ginęli pod gorami mięśniowych przeszczepów, że ich sylwetki straciły już ludzkie cechy.

Przepraszam bardzo. Przepraszam, koledzy. To tylko ja, Eddie Bax, Szybki Eddie Importer, z profesjonalnie nie rzucająca się w oczy sportowa torba. Proszę, nie zwracajcie uwagi na to rozcięcie, szerokie tylko na tyle, żeby weszła tam moja prawa dłoń.

Ralfi nie był sam. Obok siedziało osiemdziesiąt kilo kalifornijskiego blond miecha z wypisanymi na całym ciele sztukami walki.

Szybki Eddie Bax usiadł naprzeciwko, zanim miecho zdążył unieść ręce ze stołu.

-Masz czarny pas? - spytałem z zaciekawieniem.

Kiwnął głową. Blekitne oczy odruchowo przebiegały linie skanu między moimi oczami a dłońmi.

-Ja też - oznajmiłem. - Mam go tu w torbie. - Wsunąłem rękę w rozcięcie i przerzuciłem bezpiecznik. - Podwójna dwunastka ze spiętymi cynglami.

-To słuwa - wyjaśnił Ralfi, opierając dłoń o napiętą pierś chłopaka, odziana w blekitny nylon. - Johnny ma w torbie antyczna broń palna.

To tyle, jeśli chodzi o Eddiego Baxa.

Przypuszczam, że zawsze był Ralfim Jakos Tam albo Inaczej, ale przezwisko zawdzięczał odrobinie próżności. Zbudowany jak przejrzala gruszka, od dwudziestu lat nosił sławną kiedyś twarz Christiana White'a. Christian White, Biały Chrzescijanin z Aryjskiej Grupy Raggae, Sony Mao dla swego pokolenia, niezrównany mistrz wyścigowego rocka. Jestem kopalnia takich drobnych ciekawostek.

Christian White: klasyczna twarz popu, ostre rysy, rzezbione kości policzkowe. W jednym świetle anielska, w innym przystojnie zdeprawowana. Ale za tą twarzą były male, czarne oczka Ralfiego, zimne i wyrachowane.

-Proszę cie - powiedział. - Porozmawiajmy jak ludzie interesu.

Jego głos odznaczał się budzącą grozę, lepka szczeroscia, a kąciki ust zawsze miał wilgotne.

-Ten oto Lewis... - skinął głową na miesniaka - ...to tylko mięso. - Lewis przyjął to obojętnie. Wyglądał, jakby ktoś go zbudował z zestawu do samodzielnego montażu. - Ty nie jesteś mięsem, Johnny.

-Ależ jestem, Ralfi. Kawalkiem mięsa wypchanym implantami, w których możesz chować swoje brudy, kiedy sam wychodzisz poszukać kogoś, kto by mnie zabił. Z mojego końca tej torby, Ralfi, wydaje się, że powinieneś coś wytłumaczyć.

-To ta ostatnia porcja towaru, Johnny. - Westchnal głęboko. - Jako handlowiec...

-Paser - poprawilem.

-Jako handlowiec, staram sie zwykle zachowywac daleko idaca ostroznosc w kwestii pochodzenia towaru.

-Kupujesz tylko od tych, ktorzy kradna to, co najlepsze. Rozumiem. - Westchnal znowu.

-Staram sie - podjal - nie kupowac od glupcow. Tym razem, obawiam sie, to wlasnie zrobilem.

Trzecie westchnienie bylo sygnalem dla Lewisa, zeby wlaczyl bloкаде neuralna, przyklejona tasma pod blatem po mojej stronie.

Wszystko, co mi jeszcze pozostalo, wlozylem w probe zgiecia wskazujacego palca prawej reki, ale mialem wrazenie, ze nie jestem juz do niego podlaczony. Czulem metal strzelby i piankowa tasma, ktora owinalem krotka kolbe, ale rece byly jak zimny wosk, daleki i bezwladny. Mialem nadzieje, ze Lewis to prawdziwe miecho, dostatecznie glupi, zeby siegnac po torbe i szarpnac za moj sztywny palec... Ale nic z tego.

-Martwilismy sie o ciebie, Johnny. Bardzo sie martwilismy. Widzisz, to, co tam masz, jest wlasnoscia Yakuza. Jakis duren im to zabral. Martwy duren.

Lewis zachichotal.

Wszystko wtedy nabralo sensu. Paskudnego sensu, jak worki mokrego piasku spadajace mi na glowe. Zabijanie nie bylo w stylu Ralfiego. Nawet Lewis nie byl w stylu Ralfiego. Ale wpakowal sie miedzy Synow Neonowej Chryzantemy a cos, co do nich nalezalo... a raczej ich towar, ktory nalezal do kogos innego. Ralfi, naturalnie, mogl wypowiedziec haslo i wprowadzic mnie w tryb idioty/medrca, a ja wyplulbym ich goracy program, nie pamietajac ani cwiartki. Takiemu paserowi jak Ralfi zwykle to wystarczalo. Ale nie wystarczy to Yakuza. Przede wszystkim Yakuza z pewnoscia slyszeli o Matwach i woleli sie nie martwic, ze jedna z nich wyciagnie mi z glowy te niewyrazne, ale trwale slady, pozostawione przez ich program. Sam niewiele o Matwach wiedzialem, ale dochodzily do mnie rozne historie, ktorych nigdy nie powtarzalem swoim klientom. Nie, Yakuza by sie to nie spodobalo; za bardzo przypominalo dowody. Nie dotarliby na sam szczyt, tam gdzie sa teraz, pozostawiajac jakiegokolwiek dowody. Zwlaszcza zywe.

Lewis usmiechal sie. Przypuszczam, ze wyobrazal sobie punkt tuz za moim czolem i to, jak moglby tam dotrzec w mozliwie bolesny dla mnie sposob.

-Czesc - odezwal sie cichy glos kobiety gdzies zza mojego prawego ramienia. - Widze, chlopcy, ze nie za dobrze sie bawicie.

-Spadaj, dziwko - rzucił Lewis. Opalona twarz znieruchomiała.

Ralfi patrzył tepo.

-Uśmiechnijcie się. Chcecie kupić trochę czystego śniegu? - Odsunęła krzesło i usiadła szybko, zanim ktoryś z nich zdołał jej przeszkodzić. Znalazła się na samej granicy swojego pola widzenia: szczupła dziewczyna w lustrzanych okularach, ciemne, krótko ścięte włosy. Miała na sobie rozpiętą czarną skore, a pod nią koszulkę w ukośne czarne i czerwone pasy.  
- Osiem kawalków za gram.

Lewis prychnął zirytowany i spróbował zrzucić ją z krzesła. Jakos jej nie dotknął, a ona ruszyła dłoń i tak jakby musnęła jego nadgarstek. Jasna krew trysnęła na stol. Zaciśkał przegub, aż zbieleły mu kostki, a krew saczyła się pomiędzy palców.

Ale przecież ręce miała puste.

Bedzie mu potrzebny spinacz ścięgna. Wstał ostrożnie, nie dbając o to, żeby najpierw odsunąć krzesło. Przewróciło się, a on bez jednego słowa wyszedł poza pole swojego widzenia.

-Powinien znaleźć lekarza, żeby mu to obejrzał - powiedziała. - Paskudne rozcięcie.

-Nie masz pojęcia - odezwał się Ralfi bardzo nagle zmęczonym głosem - w jak głębokie gówno właśnie wdepnęłaś.

-Poważnie? Tajemnica? Podniecają mnie tajemnice. Na przykład: dlaczego twój przyjaciel jest taki cichy. Zamrożony czy co? Albo do czego to służy? - Pokazała mały sterownik, który jakos odebrała Lewisowi.

Ralfi wyglądał, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze.- Może... no... może wzięłabys ćwierć miliona za oddanie mi tej zabawki i wyjście na spacer?

Jego tłusta dłoń zaczęła gładzić bladą, szczupłą twarz.

-Wzięłabym raczej... - Pstryknęła palcami, a sterownik zakrecił się i zamigotał. - Prace. Robote. Twój chłoptas zranił sobie reke. Ale ćwiartka wystarczy na zaliczkę.

Ralfi głośno wypuścił z płuc powietrze i wybuchnął śmiechem. Odsłonił przy tym zęby, które nie dorównywały standardom Christiana White'a. A potem ona wyłączyła blokadę.

-Dwa miliony - powiedziałem.

-Lubie takich - stwierdziła ze śmiechem. - Co jest w tej torbie?

-Spluwa.

-Prymitywne. - To mogli być komplement. Ralfi milczał.

-Nazywam się Milion. Molly Milion. Chcesz stąd wyjść, szefie? Ludzie zaczynają się gapić.

Wstała. Miała skorzane dzinsy koloru zakrzepłej krwi. A ja po raz pierwszy zauważyłem, że te jej lustrzane okulary były chirurgicznymi wszczepami. Srebro wyrastało gładko z wysokich kości policzkowych i zamykało oczy w oczodołach. I zobaczyłem w nich bliźniacze odbicia mojej nowej twarzy.

-Jestem Johnny - przedstawiłem się. - Weźmiemy ze sobą pana Buzke.

Był na zewnątrz. Czekal. Wyglądał jak typowy technik na turystycznej wyprawie, w plastikowych sandałach i idiotycznej hawajskiej koszuli z nadrukiem powiększenia najpopularniejszego mikroprocesora jego firmy. Tacy goście zwykle upijają się sake w barach podających ryżowe ciasteczka z wodorostami, śpiewają hymn swojej korporacji i płaczą, a barmanowi bez końca sciskają rękę. Alfonsi i handlarze zostawiają ich w spokoju, uznając za nieuleczalnych konserwatystów: nie mają wielkich wymagań, a jeśli już mają, to bardzo uważają na swoją kartę kredytową.

Później doszedłem do wniosku, że musieli mu amputować część lewego kciuka, gdzieś za pierwszym stawem. Zastąpili go protezą, wydrążyli kikut, wprowadzili szpulke i gniazdo uformowane z jakiegoś analogonu diamentu produkcji Ono-Sendai. A potem bardzo ostrożnie nawinęli na szpulke trzy metry monomolekularnego włókna.

Molly wdala się w jakąś rozmowę z Magnetycznymi Psimi Siostrami, dając mi szansę wypchnięcia Ralfiego za drzwi, z torbą przycisniętą lekko do podstawy jego pleców. Miałem wrażenie, że je zna. Usłyszałem, że ta czarna się śmieje.

Zerknałem w górę, pchnięty jakimś ulotnym impulsem. Może dlatego, że nigdy nie przyzwyczailem się do tych szybujących łuków światła i cieni geodezyjnych nad nimi. Może to mnie uratowało.

Ralfi szedł dalej, ale nie przypuszczam, żeby chciał uciekać. Myślałem, że już zrezygnował. Prawdopodobnie domyślał się już, z czym próbujemy walczyć. Opuszcilem wzrok na czas, żeby zobaczyć, jak eksploduje. Pamięć odtwarzana z pełną mocą ukazuje idącego naprzód Ralfiego i tego małego technika, który z uśmiechem wynurza się znikąd. Słaba sugestia ukłonu, potem lewy kciuk odpada. To tylko sztuczka... Kciuk wisi w powietrzu. Lustra? Druciki? Ralfi zatrzymuje się plecami do nas... ciemne polskiezyce potu pod pachami jego jasnego letniego garnituru. Wie. Musi wiedzieć. A potem ten czubek kciuka ze sklepu z gadżetami, ciężki jak ołów, błyskawicznie zatacza łuk w górę, a niewidzialna nic łącząca go z dłonią zbrojcy przechodzi poziomo przez czaszkę Ralfiego tuż powyżej brwi, wznosi się, opada, przecina groszkowaty tors po przekątnej od ramienia do dolnych żeber. Tnie tak precyzyjnie, że nie płynie nawet krew, dopóki nie wypalają synapsy i pierwsze drgawki nie poddają ciała grawitacji.

Ralfi rozpadł się w czerwonym obłoku płynów organicznych; trzy nie dopasowane już części potoczyły się po płytach chodnika. W absolutnej ciszy. Poderwałem torbę i konwulsyjnie zacisnąłem palce. Odrzut niemal zgruchotał mi nadgarstek.

Musiało padać; wstążki wody spływały z potrząskanej geodezyjnej i rozpryskiwały się na płycie obok nas. Wcisnelismy się w wąską szczelinę między sklepem z narzędziami chirurgicznymi a antykwariatem. Wysunęła za róg jedno okryte lustrem oko i zameldowała, że przed "Drome" stoi pojedynczy moduł volksa z czerwonymi światłami na dachu. Zmiatali z chodnika Ralfiego. Zadawali pytania. Pokrywała mnie nadpalona biała wata: tenisowe skarpety. Torba była poszarpana plastikowa bransoleta na przegubie.

-Nie rozumiem, do diabła, jak mogłem spudłować.

-Bo on jest szybki. Strasznie szybki. - Objęła rękami kolana i na obcasach kołysała się w przód i w tył.

-Ma podrasowany system nerwowy. Produkt na zamówienie. - Uśmiechnęła się i pisnęła cicho z radości.

-Złatwie tego chłopaczka. Jeszcze dzisiaj. Jest najlepszy, numer jeden, sam top, dzieło sztuki.

-To, co masz złatwić za dwa miliony od tego chłopaczka tutaj, to wyciągnąć stąd jego dupę. Tego twojego faceta z knajpy wyhodowali w pojemnikach Chiba City. To zabojecka Yakuza.

-Chiba. Tak. Widzisz, Molly też była w Chibie.

Pokazała mi dłonie z lekko rozcapierzonymi palcami. Palce miała smukłe, kształtne, bardzo białe w porównaniu z paznokciami koloru burgunda. Z gniazd pod tymi paznokciami wyskoczyło nagle dziesięć ostrzy - dziesięć wąskich, obosiecznych skalpeli z błękitnej stali.

Nigdy nie przebywałem dłużej w Mieście Nocy. Nikt stąd nie płacił mi za pamiętanie, a większość regularnie płaciła sporo za zapomnienie swoich spraw. Pokolenia strzelców odlupywały neony, aż w końcu zespoły naprawcze zrezygnowały. Nawet w południe luki były czarne jak sadza na bładopierłowym tle. Gdzie można uciec, kiedy najbogatsza przestępcza organizacja świata szpera za człowiekiem chłodnymi, daleko sięgającymi palcami? Gdzie można się ukryć przed Yakuza, tak potężna, że ma własne satelity komunikacyjne i przynajmniej trzy promy? Yakuza to prawdziwa ponadnarodowa korporacja, jak ITT czy Ono-Sendai. Piecdziesiąt lat przed moim urodzeniem wchłonęła już Triadę, mafie i Union Corse.

Molly miała na to odpowiedź: trzeba się schować w Dziurze, najniższym kregu, gdzie każda zewnętrzna ingerencja wzbudza szybkie, koncentryczne kregi czystej przemocy. Schować się w Mieście Nocy. A jeszcze lepiej schować się nad Miastem Nocy, ponieważ

Dziura jest odwrocona i dno jej misy siega nieba - tego nieba, którego Miasto Nocy nigdy nie ogląda, pocąc się pod własnym firmamentem akrylowych żywic. Tam, w gorze, Lo Tekowie czają się w mroku jak maskarony, z czarnorynkowymi papierosami wiszącymi u warg.

Znała też inna odpowiedź.

-Czyli jesteś zatrzasnięty na dobre, Johnny-san? Nie da się wyciągnąć tego programu bez hasła?

Prowadziła mnie w cień za jasnym peronem metra. Betonowe ściany pokrywało graffiti, wieloletnie warstwy skrecone w jeden metazygzak gniewu i frustracji.

-Zmagazynowane dane podaje się przez szereg mikrochirurgicznych protez kontrautystycznych. - Zaczęłam prymitywną wersję standardowej mowy reklamowej. - Kod klienta trafia do specjalnego chipu. Matwy, o których w naszym fachu nie lubimy rozmawiać, to jedyny sposób odczytania hasła. Nie można go wydobyć narkotykami, torturami, nie da się wyciąć. Nie znam go, nigdy nie znalazłam.

-Matwy? Takie śliskie, z mackami?

Wyszliśmy na pusty targ uliczny. Jakieś ciemne postacie obserwowały nas przez skwerek zasmiecony rybimi łbami i gnijącymi owocami.

-Metakwantowe trasery wibracji amagnetycznych. Używali ich podczas wojny, żeby szukać okrętów podwodnych i badać cybersystemy przeciwnika.

-Poważnie? W marynarce? Z wojny? Matwa odczyta ten twój chip?

Zatrzymała się. Czulem na sobie jej wzrok zza tych podwójnych lusterek.

-Nawet prymitywne modele potrafiły mierzyć pole magnetyczne o mocy jednej miliardowej siły geomagnetycznej. To tak, jak wylowić szeptańca na ryczącym stadionie.

-Gliny już to potrafią, z parabolicznymi mikrofonami albo laserami.

-Ale dane nadal są bezpieczne. - Duma zawodowa. - Żaden rząd nie da Matw glinom, nawet tym z bezpieczeństwa. Za duże ryzyko międzywydziałowych zabaw. Za duża szansa, że zaczną wklejać szefów w jakieś watergate. - Sprzęt z marynarki... - powtórzyła, a jej uśmiech błysnął w półmroku. - Marynarka... Mam tu kumpla, który służył w marynarce. Nazywa się Jones. Powinieneś go chyba poznać. Tyle że to cpun. No więc musimy coś dla niego zabrać.

-Cpun?



-Delfin.

Był czymś więcej niż delfinem, chociaż z delfiniego punktu widzenia mógł się wydawać czymś mniej. Przyglądałem się, jak krąży leniwie w galwanizowanym zbiorniku. Woda chlapała na boki i moczyła mi buty. Pochodził z demobilu po ostatniej wojnie. Cyborg.

Wyskoczył z wody, ukazując nam pociemniałe płyty na bokach - rodzaj wizualnego żartu. Gracja ginęła pod sztuczną zbroją. Był niezgrabny i prehistoryczny. Blizniacze wypukłości po obu stronach czaszki zostały wbudowane jako powłoka zestawów czujników. Srebrzyste blizny polyskiwały na odsłoniętych fragmentach szarobiałej skóry.

Molly gwizdnęła. Jones machnął ogonem i przez krawędź zbiornika chlusnęło więcej wody.

-Co to za miejsce?

Spojrzałem na niewyraźne kształty w ciemności, na rdzewiejące lancuchy i jakieś przedmioty pod brezentem. Nad zbiornikiem wisiała prosta drewniana rama z rzędami zakurzonych choinkowych lampek.

-Wesołe miasteczko. Zoo i kolejki gorskie. "Rozmowa z wojennym waleniem". Takie rzeczy... Ten walen to Jones. Jones znowu wysunął głowę i skierował na mnie swe smutne, stare oko.

-Jak on mówi?

Nagle zachciało mi się wyjść.

-W tym właśnie tkwi hak. Powiedz "cześć", Jones. Wszystkie żarówki zapaliły się równocześnie. Błyskały czerwono, białą, niebiesko.

CBNCBNCBN

CBNCBNCBN

CBNCBNCBN

CBNCBNCBN

CBNCBNCBN

-Jest dobry w symbolach, rozumiesz, ale kod ma ograniczony. W marynarce podłączali go do systemu audiowizualnego. - Z kieszeni kurtki wyciągnęła wąski pakunek. -Czysty proch, Jones. Chcesz? - Znieruchomiał w wodzie i zaczął opadać na dno. Poczulem fale paniki. Nagle przypomniałem sobie, że nie jest ryba, że może się utopić.

-Potrzebujemy klucza do banku Johnny'ego, Jones. Potrzebujemy szybko. Światła błysnęły

i zgasly.

-No sprobuj, Jones!

N

N

NNNNNNNN

NN

N

N

N

Niebieskie zarowki, krzyz. Ciemnosc.

-Czysty! Jak snieg. No dalej, Jones.

BBBBBBBBBB

BBBBBBBBBB

BBBBBBBBBB

BBBBBBBBBB

BBBBBBBBBB

Biale sodowe swiatlo oblewalo jej surowo monochromatyczne rysy z cieniami padajacymi od kosci policzkowych.

C CCCCC

C C

CCCCCCCCC

C C

CCCCC C

Ramiona czerwonej swastyki skrecaly sie w jej srebrnych szklach.-Daj mu - polecilem. - Mamy.

Ralfi Buzka... Zadnej wyobrazni.

Jones oparl o krawedz zbiornika swoj opancerzony tulow, a ja myslalem juz, ze metal nie wytrzyma. Molly z rozmachu wbila miedzy plyty igle strzykawki. Sykнал gaz wypychajacy. Swietlne wzory eksplodowaly, spazmami objely rame, potem sciemniały az do czerni.

Kiedy odchodziliśmy, dryfował, przewracał się leniwie w ciemnej wodzie. Może snił o swojej wojnie na Pacyfiku, o cyberminach, które skasował, wsuwając się delikatnie w ich obwody ta Matwa, której użył, żeby z chipa zaszytego w mojej głowie odczytać żalosne hasło Ralfiego.

-Rozumiem, że się walneli przy demobilizacji i wypuscili go ze sprawnym wyposażeniem. Ale jak uzależnili cybernetycznego delfina od prochów?

-Wojna - odpowiedziała. - Wszyscy wtedy brali. Marynarka tego pilnowała. Jak inaczej by ich zmusili, żeby dla nich pracowali?

-Nie jestem pewien, czy to się kwalifikuje jako dobry interes - stwierdził pirat. Chciał wyciągnąć więcej forsy.

-Specyfikacja zamiaru na komsata, którego nie ma nawet w spisach...

-Nie marnuj mojego czasu, bo sam nie zakwalifikujesz się już do niczego - oświadczyła Molly. Pochyliła się nad porysowanym biurkiem i dzgnęła go palcem.

-To może kupicie swoje mikrofałe gdzie indziej?

Pod tą swoją gębą Mao był twardym dzieciakiem. Prawdopodobnie urodził się w Miescie Nocy.

Dłoni Molly mignęła tylko na tle marynarki i odcięła

klape, nie powodując najmniejszej zmarszczki na materiale.

-Umowa stoi czy nie?

-Stoi - potwierdził. Patrzył na zniszczoną marynarkę z czymś, co według niego miało być zapewne tylko uprzejmym zaciekawieniem.

Kiedy sprawdzałem dwa kupione niedawno rejestratory, ona wyjęła z zapinanej kieszeni kurtki pomięty swistek papieru, który sam jej dałem. Rozwinęła go i przeczytała, bezgłośnie poruszając wargami. Wzruszyła ramionami.

-To wszystko?

-Wal - polecilem, wciskając ZAPIS na obu dekach równocześnie.

-Christian White - wyrecytowała. - I jego Aryjska Grupa Reggae.

Wierny Ralfi, fan aż do śmierci.

Przejsście w tryb idioty/medrca jest zawsze bardziej powolne, niż tego oczekuje. Piracka radiostacja udawała skromne biuro podróży w pastelowym pudle, mieszczącym biurko, trzy krzesła i wyblakły plakat szwajcarskiego uzdrowiska orbitalnego. Para ptaszków o tulowiach z dmuchanego szkła i nozkach ze srebrnej folii monotonicznie pila ze styropianowego kubka na polce za ramieniem Molly. Kiedy przefazowywałem się w tryb, przyspieszały stopniowo, aż ich fosforyzujące pierzaste czubki zmieniły się w jednolite luki barw. LED-y wskazujące sekundy na plastikowym ściennym zegarze stały się bezsensownymi pulsującymi kratkami, a Molly i chłopak z twarzy Mao rozmyli się i tylko ich rece migaly czasem w szybkich jak u owadów widmach gestów. A potem wszystko rozplynęło się w chłodną szarość i nieskonczony śpiewny poemat w sztucznym języku.

Siedziałem przez trzy godziny i śpiewałem kradziony program martwego Ralfiego.

Ciąg handlowy ma od końca do końca prawie czterdzieści kilometrów - nierówne, zachodzące na siebie kopuły, osłaniające coś, co było kiedyś podmiejska arteria. Jeśli w pogodny dzień zgasza luki, przez warstwy akrylu saczy się szarość zbliżona do słonecznego światła: widok jak na wieziennych szkicach Giovanniego Piranesi. Ostatnie trzy kilometry ciągu od południa okrywają Miasto Nocy.

Miasto Nocy nie płaci żadnych czynszów ani podatków. Neonowe luki są tam martwe, geodezyjne poczerniały po dziesiątkach lat dymiących ognisk. Kto w Mieście Nocy, w całkowitej niemal ciemności południa zdoła zauważyć ukryte w krokwiach kilkadziesiąt szalonych dzieci?

Wspinalismy się od dwóch godzin: po betonowych schodach i żelaznych drabinach z perforowanymi szczelbami, mijając opuszczone pomosty i pokryte kurzem narzędzia.

Wyruszyliśmy z czegoś, co wyglądało na nie używany warsztat remontowy, zastawiony trójkątnymi segmentami dachu. Wszystko tu pokrywała taka sama jednolita warstwa graffiti: nazwy gangów, inicjały, daty sięgające początku wieku. Graffiti nie opuszczało nas przez całą drogę, błędnie stopniowo, aż tylko jeden tekst powtarzał się co pewien czas. LO TEK. Grubymi czarnymi literami.

-Kto to jest Lo Tek?

-Nie my, szefie. - Wspierała się na aluminiową drabinę i zniknęła w otworze w arkuszu pogiętego plastiku.

-Low Technology, niska technika. - Plastik tłumil jej słowa. Szedłem za nią, oszczędzając bolący nadgarstek. Lo Tekowie. Twój numer z obrzytnem uznaliby za dekadencję.

Godzine później podciągnąłem się do kolejnej dziury, tym razem wyciętej nierówno w opadającej płycie sklejki i spotkałem swojego pierwszego Lo Teka.

-Nie ma sprawy - rzuciła Molly, muskając mnie dłońmi po ramieniu.

-To tylko Pies. Siemanko, Pies.

W wąskim promieniu jej oklejonej taśmy latarki przyglądał się nam swoim jednym okiem i wysuwając szary język, wolno oblizywał potężne kły. Nie byłem pewien, jakim cudem przeszczepy żalazek zębów można uznać za niski poziom techniki. Immunosupresanty zwykle nie rosną na drzewach.

-Moll. - Eskalacja uzębienia utrudniała mu wymowę. Pasemko śliny zwisało z wykrzywionej dolnej wargi

-Słyszałem, że idziesz. Dawno.

Mógł mieć z piętnaście lat, ale kły i jaskrawa mozaika blizn połączona z pustym oczodołem tworzyła maskę bestii. Zestawienie takiej twarzy wymagało czasu i pewnych zdolności twórczych, a jego postawa świadczyła, że lubi z nią żyć. Nosił rozpadające się dzinsy, czarne od brudu i wyswiecone na szwach. Piers miał naga, stopy białe. Wykonał wargami grymas lekko przypominający uśmiech.

-Ktoś leży. Za toba.

Daleko w dół, w Miście Nocy, sprzedawca wody zachwalał swój towar.

-Nitki skaczą. Pies?

Skierowała latarkę w bok i zobaczyłem cienkie sznurki przywiązane do śrub, sznurki biegnące do krawędzi i znikające w dół.

-Zgas to pieprzone światło!

Zgasła.

-Dlaczego ten, co za toba leży, nie ma światła?

-Nie potrzebuje. Ten gość to złe wieści, Pies. Jeśli twoi strażnicy go ruszą, wróca do domu w łatwych do przenoszenia częściach.

-To przyjaciel. Moll? - Zaniepokoił się chyba. Słyszałem, jak przesuwają stopy po wytartej sklejce.

-Nie. Ale jest mój. A ten... - Klepnęła mnie w ramię. - Ten to przyjaciel. Jasne?

-Pewno - potwierdził bez wielkiego entuzjazmu.

Przeszedł na skraj platformy, gdzie tkwiły sruby, i wygrał na napiętych sznurkach jakąś wiadomość.

Miasto Nocy rozciągało się pod nami jak tekturowa wioska dla szczurów. Małe okna isniły światłem świec; widziałem tylko kilka ostrych, jasnych prostokątów rozświetlonych lampami bateryjnymi i karbidowymi. Wyobraziłem sobie staruszków pochylonych nad nie skończonymi partiami domina, pod ciepłym deszczem kapiącym z prania wywieszzonego na drągach między budami ze sklejki. A potem wyobraziłem sobie jego, jak wspina się cierpliwie przez ciemność w swoich sandałach i brzydkiej koszuli turysty, obojętnie i bez pośpiechu. Jak potrafił nas śledzić?

-Dobrze - stwierdziła Molly. - Czuje nas.

-Zapalisz?

Pies wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę, z której wylowilem splaszczony papierosa. Kiedy podawał mi ogień zapalka, dostrzegłem napis. Yeheyuany z filtrem. Beijing Cigarette Factory. Uznałem, że Lo Tekowie działają na czarnym rynku. Pies i Molly wrocili do swojego sporu, który brał się z tego, że Molly miała chęć skorzystać z pewnego konkretnego fragmentu nieruchomości Lo Teków.

-Sporo dla was zrobiłam, chłopie, i chce tego podestu. Razem z muzyką.

-Nie jesteś Lo Tekiem.

Trwało to prawie przez cały krety kilometr. Pies prowadził nas po rozchwianych pomostach i sznurowych drabinkach. Lo Tekowie przysysają swoje sieci i kryjówki do osnowy miasta bryłami epoksydów; śpią w hamakach. Ich kraina jest miejscami tak wytarta, że składa się prawie wyłącznie z uchwytów dla dłoni i stop, przymocowanych do geodezyjnych konstrukcji.

Zabójczy Podest - tak to nazywała. Pelznąc za nią, czując, jak buty Eddiego Baxa zślizgują się na śliskim metalu i wilgotnej sklejce, myślałem, że przecież nie może być bardziej niebezpieczny niż pozostała część terytorium. A równocześnie wyczuwałem, że protesty Psa były raczej rytualne, że spodziewała się dostać to, czego żąda.

Gdzieś pod nami Jones krąży pewnie wokół zbiornika i odczuwa pierwsze sygnały głodu. Policja zamecza stałych bywalców "Drome" pytaniami o Ralfiego. Czym się zajmował? Z kim rozmawiał, zanim wyszedł? A Yakuza zawiesza swoje widmowe cielsko nad bankami danych miasta, poszukując moich błędnych wizerunków odbitych w numerowanych kontaktach, zabezpieczanych transakcjach, rachunkach. Żyjemy w gospodarce informatycznej. Tego uczą w szkole. Nie mówią tylko, że nie można się ruszyć, nie można działać na żadnym poziomie, nie pozostawiając śladów, strzępków, pozornie pozbawionych znaczenia

fragmentow osobistej informacji. Fragmentow, ktore da sie odzyskac, powiekszyc...

Ale w tej chwili pirat juz pewnie przeslal nasza wiadomosc do bufora czarnej skrzynki i wkrótce nastapi transmisja do komsatu Yakuza. Prosta wiadomosc: odwołajcie psy goncze, bo nadamy wasz program otwartym kodem.

Program... Nie mialem pojecia, co zawiera. I nadal nie mam. Ja tylko spiewam, przy zerowym zrozumieniu. Prawdopodobnie chodzi o dane badawcze, bo Yakuza zajmuje sie zaawansowanym szpiegostwem przemyslowym. Dyskretny biznes: typowa kradziez z Ono-Sendai i trzymanie danych dla okupu. Pod grozba publikacji, ktora musialaby wplynac na zachwianie technicznej przewagi firmy.

Ale dlaczego inni nie moga sie wlaczyc? I czy Yakuza nie bylaby szcieszliwsi, gdyby mieli czym pohandlowac z Ono-Sendai, zamiast zostac z jednym martwym Johnnym z Memory Lane?

Ich program byl juz w drodze pod pewien adres w Sydney, gdzie trzymaja listy dla klientow i nie zadaja pytan. Wystarczy wpalac niewielka zaliczke. Zwykly list, nawet nie lotniczy. Wykasowalem wieksza czesc drugiej kopii i w wolne miejsca nagralem nasza wiadomosc. Zostawilem tyle, zeby mogli stwierdzic autentycznosc programu.

Bolal mnie nadgarstek. Mialem ochote zatrzymac sie, polozyc, zasnac. Wiedzialem, ze dlugo juz nie wytrzymam, ze spadne, ze lsniace czarne buty, ktore kupilem na wieczorny wystep w roli Eddiego Baxa, straca kontakt z podlozem i poniosa mnie w dol, do Miasta Nocy. Ale on pojawial sie w moich myslach niczym tani religijny hologram - jarzyl sie widmowo, a powiekszony chip na jego koszuli unosil sie nade mna niby satelitarne zdjecie jakiegos skazanego na zaglade miasta.

Dlatego wchodzilem za Psem i Molly przez niebo Lo Tekow, prowizorycznie sklecone z odpadkow, ktorych nie chcialo nawet Miasto Nocy.

Zabojczy Pomost byl kwadratem o boku osmiu metrow. Jakis olbrzym przewlekal stalowa line tam i z powrotem przez skladowisko zlomu, a potem naciagnal ja mocno. Pomost trzeszczal, gdy sie poruszal, a poruszal sie bez przerwy. Kolysal sie i falowal, gdy publicznosć Lo Tekow zajmowala miejsca na otaczajacej go drewnianej polce. Drewno bylo srebrzyste ze starosci, wypolerowane przez dlugie uzytkowanie, pokryte gleboko rzezbionymi inicjalami, grozbami, deklaracjami namietnosci. Polka wisiala na osobnych linach, ginacych w ciemnosci za ostrym, bialym blaskiem dwoch antycznych, umocowanych wysoko reflektorow.

Dziewczyna z zębami jak Pies wyladowala na Podescie na czworaka. Piersi miala wytatuowane w ciemno-niebieskie, spirale. A potem skoczyla na druga strone i smiejac sie, natarla na chlopaka, ktory pil jakis cienmy plyn z litrowej butelki.

Moda Lo Tekow wymagalala blizn i tatuazy. I zebow. Elektrycznosć, ktora kradli, zeby

oswietlic Zabojczy Podest, byla chyba jedynym wyjatkiem od panujacej tu estetyki, dopuszczanym dla... rytualu, sportu, sztuki? Nie wiedzialem, ale rozumialem dobrze, ze Podest jest czyms szczegolnym. Wygladal, jakby montowaly go pokolenia.

Trzymalem pod marynarka bezuzytecznego obrzyna. Ciezar i twardosc uspokajaly, mimo ze nie mialem juz naboji. I przyszlo mi do glowy, ze wlasciwie nie mam pojecia, co sie tu dzieje i co powinno sie zdarzyc. Taka zwykle byla natura mojej gry, poniewaz przez wieksza czesc zycia sluzylem za slepy odbiornik, wypelniany wiedza innych ludzi, a potem opozniany, tryskajacy strugami sztucznych jezykow, ktorzych nigdy nie rozumialem. Techniczny chlopak.

Pewno.

I wtedy zauwazylem, ze Lo Tekowie ucichli.

Stal tam, na samej granicy swiatla, ze spokojem turysty obserwujac Zabojczy Podest i galerie milczacych Lo Tekow. Po raz pierwszy spojrzelismy sobie w oczy i rozpozналиśmy sie. W pamieci rozblysko nagle wspomnienie Paryza i dlugich elektrycznych mercedesow, sunacych wsrod deszczu ku Notre Dame niby ruchome cieplarnie. A za szybami japonskie twarze i setki nikonow unoszacych sie w slepym odruchu fototropizmu, jak kwiaty ze stali i krysztalu. Za jego oczami, kiedy mnie odnalazly, brzezczyly takie same migawki.

Obejrzałem się za Molly Million, ale zniknęła. Lo Tekowie rozstapili się, żeby mógł wejść na lawkę. Uklonił się z uśmiechem i gładko zsunął sandały, zostawił je ustawione obok siebie, idealnie równo. A potem wstąpił na Zabojczy Pomost. Ruszył do mnie przez ten falujący batut z odpadków równie pewnie, jak turysta idący po syntetycznym chodniku korytarzem typowego hotelu.

Molly z rozpedu wskoczyła na Podest.

Podest zawył.

Mieli wzmacniacze i mikrofony: cztery szerokopasmowe tkwily na czterech grubych sprezynach w rogach, a kontaktowe poprzyklejali przypadkowo do rdzewiejacych elementow maszyn. Lo Tekowie podlaczyli do tego wzmacniacz i syntetyzer. Dopiero teraz zauwazylem nad glowa, za okrutnym blaskiem reflektorow, ksztalty glosnikow.

Zabrzmił perkusyjny rytm, elektroniczny, podobny do wzmocnionych uderzeń serca, równomierny jak metronom.

Zrzuciła skórzana kurtkę i buty. Miała na sobie koszulkę bez rękawów, a delikatne ślady obwodów z Chiba City wyznaczały linie na jej ramionach. Skórzane dzinsy Isniły w świetle reflektorów. Zaczęła taniec.

Ugięła kolana, bosa stopy nacisnęły spłaszczony zbiornik gazu, a Zabojczy Podest



zafalował w odpowiedzi. Wydawał dźwięk, jakby świat się kończył, jakby liny podtrzymujące niebiosa pękały i zwijały się na niebie.

On unosił się przez kilka uderzeń serca, a potem ruszył, perfekcyjnie oceniając ruchy Podestu, niczym człowiek w wypielegnowanym ogrodzie, przechodzący z jednego płaskiego kamienia na drugi.

Zdjął czubek kciuka z gracją kogoś wykonującego konwencjonalny gest bez znaczenia. Rzucił w Molly. W blasku reflektorów włókno było załamującą światło nicią teczki. Padła na płask, przetoczyła się i wstała jednym skokiem, kiedy przemknęła nad nią monomolekuła. Stalowe szpony wystrzeliły na zewnątrz w odruchowej zapewne reakcji obronnej.

Beben przyspieszył, a ona podskakiwała w jego rytmie ciemne włosy powiewały wokół pustych srebrnych szkieł zacisnęła usta i w skupieniu ściągnęła wargi. Zabójczy Podest grzmiał i huczał, a Lo Tekowie wrzeszczeli z podniecenia.

Zwinał włókno, pozostawiając metrowy krąg upiornego polichromu. Utrzymywał go, poruszając dłoń bez kciuka na wysokości mostka. Tarcza. A w Molly jakby coś pękło... coś w jej wnętrzu. Teraz dopiero zaczęła prawdziwie wściekły taniec. Skoczyła, przekreśliła się, rzuciła w bok i wylądowała obiema nogami na bloku silnika podłączonego bezpośrednio do jednej ze sprężyn. Zasłoniłem uszy i przykleknąłem w wirze dźwięków. Miałem wrażenie, że Podest i lawki spadają, że pedza do Miasta Nocy. Widziałem już, jak łamiemy dachy bud i krwawym prysznicem eksplodujemy na płytach chodnika jak przegnione owoce. Ale liny wytrzymały, a Zabójczy Podest wznosił się i opadł niby obłokane metalowe morze. A po nim tańczyła Molly.

Tuż przed końcem, zanim ostatni raz machnął włóknem, zobaczyłem coś na jego twarzy: jakiś wyraz, który mnie zaskoczył, którego tam być nie powinno. Nie był to strach ani gniew. Myślałem, że było to chyba niedowierzanie, oszłomienie zmieszane z czysto estetycznym obrzydzeniem wobec tego, co widział i słyszał... tego, co się z nim działo. Skrocił włókno i widmowy dysk zmalał do rozmiaru talerza. Wtedy wyrzucił rękę nad głowę i szarpnął nią w dół; czubek kciuka skreślił za Molly jak żywa istota.

Podest odsunął ją w dół, monomolekuła przemknęła tuż nad nią; Podest zafalował i unosił go na ścieżkę napiętego włókna. Powinno przelecieć mu bezpiecznie nad głową i wsunąć się do twardego jak diament gniazda... Odcięło mu rękę powyżej nadgarstka. W Podescie była szczelina, tuż przed nim. Skoczył w nią jak nurek, z przedziwną gracją - pokonany kamikaze w drodze do Miasta Nocy. Po chwili, tak mi się wydaje, rzucił się w dół, żeby zyskać kilka sekund godności ciszy. Zabiła go szokiem kulturowym.

Lo Tekowie krzyknęli, ale ktoś wyłączył wzmacniacz i Molly wjechała na Zabójczym Podescie w ciszy. Twarz miała błąda i martwa... Ustało kołysanie i słychać było tylko ciche trzaski udrezonego metalu i zgrzyt rdzy o rdze.

Bezskutecznie szukaliśmy na Podescie odciętej dłoni. Trafiliśmy tylko na gładki luk w kawalku przerdzewiałej stali, w miejscu, gdzie przeszła monomolekula. Krawędź była błyszcząca jak nowy chrom.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy Yakuza przyjęli nasze warunki, ani nawet czy otrzymali naszą wiadomość. O ile wiem, ich program wciąż czeka na Eddiego Baxa na zapleczu sklepu z pamiątkami na trzecim poziomie Sydney Central-5. Prawdopodobnie już parę miesięcy temu sprzedali oryginał Ono-Sendai. Ale może dotarła do nich ta piracka transmisja, bo minął już prawie rok, a nikt dotąd na mnie nie polował. Jeśli przyjdą, czeka ich długa wspinaczka w ciemności, obok wartowników Psa, a ja ostatnio nie wyglądam już jak Eddie Bax. Molly się tym zajęła - ze znieczuleniem miejscowym. A nowe zęby już się prawie przyjęły.

Postanowiłem zostać tu na gorze. Kiedy patrzyłem na Zabończy Podest - zanim jeszcze przyszedł on - zrozumiałem, jaki byłem pusty. I wiedziałem, że mam już dość roli wiadra. Dlatego teraz prawie każdej nocy schodzę na dół i odwiedzam Jonesa.

Jesteśmy teraz współnikami, Jones i ja. I Molly Milion, która prowadzi nasze interesy w "Drome". Jones nadal tkwi w wesołym miasteczku, ale teraz ma większy zbiornik i raz na tydzień świeża morską wodę. I ma swoje prochy, kiedy ich potrzebuje. Dalej gada do dzieciaków żarówkami w ramie, ale ze mną rozmawia przez nowy zestaw wizyjny zamontowany w szopie, która tam wynajmuje. Lepszy zestaw niż miał w marynarce.

I wszyscy zarabiamy duże pieniądze. Większe niż zarabiałem poprzednio, bo Matwa Jonesa potrafi odczytać ślady wszystkiego, co kiedyś we mnie przechowywali. Przekazuje to na ekranie w językach, które rozumiem. Dzięki temu wiele się dowiaduje o swoich byłych klientach. Pewnego dnia kaze chirurgowi wygrzebać sobie z mózgu cały krzem i będzie żył ze swoimi i tylko swoimi wspomnieniami, jak wszyscy ludzie. Ale to dopiero za jakiś czas.

A poki co, jest tu naprawdę niezłe: na gorze, w ciemności. Pale chińskie papierosy z filtrem i słucham, jak z geodezyjnych sciekają krople. Cisza... Chyba że para Lo Tekow, postanowi zatęczać na Zabończym Podescie.

I wiele można się nauczyć. Mając Jonesa, który pomoże mi się we wszystkim polapać, będę chyba najbardziej technicznym chłopakiem w okolicy.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-15

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/